



## Zbigniew Domino (1929–2019)

Sybirak, autor kresowo-syberyjskiej sagi powieściowej: *Syberjada polska* (2001), także zekranizowanej, *Czas kukulczych Sgniazd* (2004), *Tajga. Tamtego lata w Kajenie* (2007), *Młode ciemności* (2012), *Zakłęty krąg* (2017), *Cedrowe orzechy* (1974, poszerzone wyd. w 2014 r.), *Sybiraczka* (2019) oraz kilkunastu innych książek. Jego proza tłumaczona była na języki obce.

### CZY TAK BYĆ MUSIAŁO?

Fragmenty opowieści *Sybiraczka*

Czy z naszą rodziną musiało się stać to, co się z nami stało owej koszarnej lutowej nocy roku czterdziestego, zakończonej wywózką na Sybir? Dzisiaj, po tylu, tylu latach, to zgoła retoryczne pytanie [...] Co by z naszą rodziną się działo, jak by się jej losy potoczyły, gdybyśmy, niemal tuż przed wojną, nie wyjechali z Kielnarowej do Worwolnic na Podolu? Jednego tylko mogę być pewien, że z mojej rodzinnej Kielnarowej na Sybir by nas nie wywieziono.

Kielnarowa to moja rodzinna wieś, to moja dziecięca arkadia. Tutaj spędziłem najszczęśliwszy okres mojego krótkiego dzieciństwa. Urodziłem się pod znakiem Strzelca, 21 grudnia 1929 roku. Matka – Antonina Kaplita, ojciec – Stanisław Domino. Moi rodzice pochodzili z Kielnarowej. Obydwoje z tradycyjnych chłopskich rodzin. Nigdy nie dochodziłem, skąd się wywodzi jedna czy druga rodzina, skąd się wzięło dość przecież niepospolite, a w każdym razie obco brzmiące nazwisko rodziny ze strony ojca: Domino. Niektórzy twierdzą, że kiedyś przywędrowaliśmy z Wołoszy, inni przypuszczają, że jakiegoś Dominę przywiózł do Polski ze słonecznej Italii któryś z możnowładców słynnego państwa tyczyńskiego. Może być w tym coś z prawdy, jako że słońce i wino lubię, a od wieków siedliskiem Dominów był Budziwój, wieś wolnych chłopów, sławna na całą okolicę. Wiem jeszcze, że jeden z budziwojskich Dominów, Wojciech, chodził z hrabią Wodzickim z Tycyna do powstania styczniowego. Car zesłał go na Sybir. Tak więc mój pradziadk Wojciech był pierwszym Dominą sybirakiem.

Do Kielnarowej przywędrował mój dziadek Jan Domino, który na początku dwudziestego wieku kupił od hrabiny Wodzickiej resztówkę wraz z okazałym dworkiem i pięknym parkiem. Dziadek ze strony matki, Leon Kaplita, z tego, co wiem, był w Kielnarowej zawsze, podobnie jak jego żona, a moja babka – Aniela. Kaplitowie mieli dwóch synów i jedną córkę – Antoninę, moją matkę. Mieszkali w drewnianej, słomą krytej chałupie, przycupniętej nad potokiem, u zbiegu dwóch wysokich, częściowo zalesionych wzgórz. [...]

Czas biegł, a ja żyłem sobie w Kielnarowej jak u pana Boga za piecem. Do czasu, bo nagle któregoś dnia dotarła do mnie wiadomość, że ojciec sprzedaje nasz dom, całą gospodarkę i że wyjeżdżamy na jakieś tam Podole! A był to rok 1938! Mnie, jak łatwo obliczyć – szło dopiero na dziewiąty rok! Pamiętam tylko tyle, że ojciec tłumaczył każdemu, kto znalazł się w naszym domu, jaka na tym Podolu czarna i dobra ziemia, jacy tam będziemy szczęśliwi i bogaci. Mama zrobiła się smutna i popłakała.

Opuściliśmy tedy nasz kielnarowski dom w maju 1938 roku. Pamiętam furę załadowaną kapiato różnym dobytkiem, do której z tyłu przywiązany był na łańcuchu nasz pies, taki biały kundel, Trot. Tą furą jechał mój ojciec na stację do Rzeszowa, gdzie miał nastąpić załadunek do towarowego wagonu. Staliśmy z mamą na ganku. Mama trzymała Tada na rękę i patrzyliśmy. Wóz ruszył. Trot naciągał łańcuch, zaparł się, zawył i padł martwy na gościńcu... Ojciec pojechał wtedy na Podole sam, natomiast mama została z nami, żebyśmy rok szkolny dokończyli. [...]

Poprawnie, po polsku, to oczywiście Syberia. Ale w polskiej zesłańczej gwarze, i to od wieków: Sybir! Brzmi to z rosyjska, choć to nazwa bliższa odwiecznej, aborygeńskiej nazwy tej rozległej, ogromnej krainy. Syberia, Sybir, Sibur, Syberi, Sabir, Sibir, a nawet Saber. To nazwy w języku aborygenów z czasów zajęcia ich włości przez rosyjskich najeźdźców. I prawie wszystkie aborygeńskie nazwy znaczący Wielki Las. Podobnie jak z nazwą tajga. Choć według Buriatów czy Ewenków tajga to też Wielki Las. Albo słynne syberyjskie jezioro Bajkał. Dla Buriatów to Bajkał Dołaj, czyli Święta Woda.

Tak więc 10 lutego 1940 roku wywieziono naszą rodzinę z Podola na Sybir. Po miesięcznej, nieprawdopodobnie uciążliwej podróży w bydłych wagonach, podróży, której trudy nie wszyscy wytrzyma-

li, konwój NKWD wysadza nas w Kańsku, na Wschodniej Syberii. Stamtąd, przez ponad tydzień, w trzaskającym mrozie i wciąż pod konwojem, wiozą nas w głąb tajgi do osamotnionej barakowej osady Kaluczoje nad rzeką Pojmą. Czekają na nas baraki, dopiero co opróżnione przez więźniów, których gdzieś indziej pognano. Baraki są stare, brudne i zapluskowane, z narami przy ścianach i z żeliwnym, beczkowatym piecykiem na środku... Co w tym Kaluczem, i w ogóle, przez długie sześć lat na Sybirze z nami się działo, jak nam się tam żyło, nie da się tego w tej krótkiej opowieści opisać. Tym bardziej że już to kiedyś zrobiłem. Zapewniam, że niemal z dokumentalną dokładnością, w powszechnie znanej i dostępnej *Syberiadzie polskiej*. [...]

Głód... Prawdziwego głodu, takiego do skrętu kiszki, nie da się opowiedzieć ani opisać. W każdym razie ja nie potrafię. Nie potrafię, choć zdarzało mi się puchnąć z głodu na Sybirze, a pusty żołądek wysychał i skręcał kiszki bólem. Picie wody nie pomagało, bo nawet ślina z tego głodu wysychała. Taki głód trzeba samemu przeżyć, choć nikomu tego nie życzę. Co to za głód, bo nie zjadłem śniadania, spóźniłem się na obiad czy opuściłem kolację. [...]

Przez cały czas pobytu na Sybirze najgłodniej nam było w zimie, bo w lecie tajga nas grzybami i jagodami dożywiała, a okoliczne rzeki rybami, jak tylko nauczyliśmy się je wylawiać. A nawet już na wiosnę, kiedy śnieg ledwie z uprawnych pól zlaźił. Nie zapomnę, jak mały Tadek z babcią Byrską wygrzebywali zgnię ziemniaki, a babcia z nich placki wypiekała.

A skoro już o głodzie mowa, to najbardziej zapamiętałem dwa najgłodniejsze i najsmutniejsze święta: Wigilię w grudniu 1940 roku i Wielkanoc roku 1941. Najsmutniejsze, bo niezależnie od napływu wspomnień, jak je świętowaliśmy w Polsce, były to pierwsze święta po śmierci mamy... A najgłodniejsze, bo w Wigilię dzieliliśmy się z ojcem tylko kawałkiem zmarzniętego na kość czarnego chleba, którego odrobinę ojciec przyniósł, wracając z tajgi po robocie. W naszym baraku niektórzy w tę Wigilię nawet kromki chleba nie mieli...

W ciemnym zatłoczonym baraku, rozświetlanym błyskami tłącego się żeliwnego piecyka, rodziny skupione na swoich pryczach, każda po swojemu przeżywała ten pierwszy wigilijny zesłańczy wieczór. Nagle z cicha, a potem coraz głośniejszą zabrzmiała kołęda. Piękny głos i rzewny solowy śpiew:

*Jeżus malusieńki, leży nagusieńki,  
Płacze z zimna, nie dała mu  
Matula sukienki...*

Kołęda skończona, śpiewaczki nikt nie wspomógł. Za to w baraku na moment zapadła taka cisza, że słychać było potrzaskiwanie tłących się w piecyku polan. A w chwilę potem jeden wielki żalony szloch kobiet. I chyba nie tylko kobiet. Ja też łykałem łzy razem z okruszkami zmarzniętego razowca. Zresztą do dzisiaj w gardle mi zasycha i jak na jawie widzę tamten zaciemniony barak, kiedy ktoś w wigilijny wieczór intonuje: *Jeżus malusieńki...* [...]

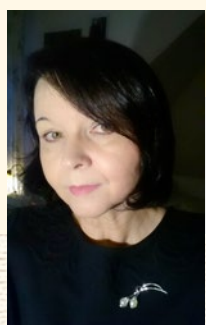
Jedno jest pewne, że matczyna książka [kucharska] była z nami w Kielnarowej. Z nami też w 1938 roku przeprowadziła się na Podole, do Worwolnic w powiecie zaleszczyckim. A 10 lutego 1940 roku wywieziono nas na Sybir. I książkę też. [...] Czemu ta książka dopiero na Sybirze mnie zainteresowała? Nie uchybiając prawdzie, opisałem to we wspomnianej *Syberiadzie polskiej*. Szkoły w zagubionym w tajdze Kaluczem nie było. Żadnej. Ani rosyjskiej, ani polskiej. Dzieci zesłańców puszczane samopas całymi dniami włóczyły się po barakach i okolicznej tajdze. Rodzice postanowili jakoś temu zaradzić. Wśród zesłańców znalazł się nauczyciel, który zaczął polskie dzieci uczyć. Trudności polegały na tym, że nie było nawet czym i na czym pisać, nie mówiąc już o szkolnych podręcznikach. Odnaleziona wśród zesłańców każda polska książka nadawała się do nauki.

## Alicja Ungeheuer



Poetycko debiutowała tomikiem *Dotknięcia* (1997), potem wydała kolejne: *Kęsy życia* (2004) z częścią pt. *Od córki poświęconą matce* oraz *Wiersze kuchenne* (2016). Najnowszy zbiór zatytułowała *Wiersze lekko myślne* (2019). Publikowała też utwory w prasie literackiej.

* liściem wątłym i kruchym	* nagle pękło niebo i całkiem niespodziewanie spadłam ze wszystkimi rupieciami leciałam w dół	* najgorsze co może się zdarzyć to zabić	* myślę że nigdy tego nie znajdę oczywiście będę szukać będę się starała w każdym razie chcę
czterolistną koniczynką	raz głową raz nogami razem z krzesłem umywalką	takie dzikie zwierzę z błyszczącym okiem i wilgotnym nosem co wychynęło z leśnej głuszy by choć na sekundę zadziwić się światem	ale niczego konkretnego nie mogę obietać
stuletnim bławatkiem	starą maszyną do pisania paroma książkami i pianinem		to jest jak kręgi na wodzie jak szum ptasich skrzydeł jak dźwięk który słyszysz a przecież nie możesz dotknąć
jawi się w książce między stronicami	z obolałym żołądkiem i głupią miną		boję się że to mi umknie albo mnie ominie mogę tego po prostu nie rozpoznać tak się zdarza a wtedy wiecznie czekasz
walczy o przetrwanie z czasem zasuszony wśród słów dziecięcej bajeczki	teraz jestem tutaj leżę na trawniku przed domem i czuję szum w uszach zbieram rupiecie		
mój prawdziwy ogród			



## Małgorzata Żurecka

Laureatka konkursów poetyckich i nagrody Złotego Pióra. Wydała tomiki poezji: *Piąta pora konieczności* (2001), *Ostatni anioł goryczy* (2005), *W kapsule codzienności* (2007), *Ucieczka z krainy pozoru* (2011), *Naga Malwa* (2013), *Kos śpiewa lato* (2016) i książkę prozatorską *Nusia* (2019). Od 2006 roku w Związku Literatów Polskich, jest wiceprezesem rzeszowskiego oddziału ZLP, a od 2012 należy do Unii Poetyckiej Wojciecha Siemiona.

### KOLEDNICY – BABCIU, RATUJ!

Fragment opowiadania z książki *Nusia*

Skosów przykryła gruba pierzyna śniegu. Dachy domów w śnieżnych czapach pykały leniwie smugi dymu z cybuchów kominów. W kryształicznie wymrożonym powietrzu echem roznosiły się poszczekiwanie psów i pisk dzieciarni biegnącej za kołędnikami.

Nusia wyrzała przez okno i przerażona tym, co zobaczyła, ukryła się pod stołem.

– Babciu, ja się boję! Ja się boję śmierci! – darła się histerycznie.

– Ta nie bój się, głupia, to kołędnicy, przebierańcy. To koledzy wujka Adama – uspokajała babcia Wiesia, mając na myśli kolegów najmłodszego z synów.

Nusia siedziała pod stołem w kukki, w panice przebierając nogami.

– Zaraz ich przegonię. Nie wpuszczę do domu. Nie bój się! – powtarzała podenerwowana babcia.

Widząc nadchodzącą grupę podchmielonych przebierańców, niosących wielką, kolorową gwiazdę betlejemską na kiju, ustawiła się przed wejściem do domu i broniąc drzwi rozłożonymi rękami, wołała:

– Proszę tu nie wchodzić, tu jest małe dziecko, ono się boi. Idźcie stąd precz!

Niewiele to pomogło. Rozochoceni odepchnęli babcię i wtargnęli do domu w poszukiwaniu dziecka. Kiedy odkryli schowek Nusi, podnieśli obrus i poszturczywali ją pod stołem – śmierć kosą z tektury, a diabeł drewnianymi widłami.

Pokrzykiwali przy tym:

– Za twe grzechy, za twe zbytki, chodź do piekła, boś ty brzydka!

Nusia, gdy zobaczyła postać w białym prześcieradle z wyciętymi otworami jedynie na oczy i diabła ubranego w kozuch z osmoloną sadzą twarzą, z czerwonymi rogami na głowie i długim włochatym ogonem, darła się wniebogłosy:

– Ja się boję, boję, babciu, ratuj!

Babcia, obawiając się historii malej, próbowała odciągnąć kołędników. Nawet się z nimi mocowała, nie dała jednak rady ich rozgonić.

Na szczęście z odsieczką przyszedł wujek Adam. Wygarnął szybko spod pieca popiół do wiaderka i groźnie wymachując nim, straszyl, że jeśli nie odstąpią od malej, wysypie na nich cały popiół.

Diabeł i śmierć, przepychając się przez Heroda, pasterzy, anioła i całą cizbę przebierańców, próbowali jak najszybciej przedostać się na zewnątrz, widząc, że Adam nie żartuje.

A jemu żal było wystraszonej ulubionej siostrzenicy. Pogonił całe to kolorowe, rozochoczone towarzystwo, a gonił ich dotąd, aż pomścił małą, wysypując śmierci popiół na głowę.

Babcia pocieszała Nusię, śmiejąc się:

– Patrz no ty, wujek Adam wysypał śmierci popiół na głowę. Już nie będzie cię straszyć. Nie płacz, już tu nie wrócą. Wyjdź spod stołu, babcia ugotuje ci kakalka.

Widząc jednak, że mała nie odzywa się skulona, musiała siłą wyciągnąć ją całą trzęsącą się spod stołu.

Adam złapał gitarę i rozśmieszał małą, tańcząc pokracznie, śpiewał:

– Heca, heca koło pieca, cielę mnie pobodło, matka maścią smarowała, nic mi nie pomogło.

Babcia mocno poirytowana, przegoniła Adama;

– A idźże ty stąd, spokój ma być i cisza! Jutro zabierzesz ją na górkę, na sanki.

Trzymała wnuczkę na kolanach, kołysząc się i mocno przyciskając jej głowę do piersi, głaskała ją po plecach. Nusia, cichutko chlipiąc, poprosiła:

– Opowiedz coś.

I babcia, tak kiwając się na krześle wraz z małą na kolanach, zaczęła:

Opowiem ci bajkę, jak kot kurzył fajkę,

na krótkim cybuszku, upalił sobie uszko,

a kocica papierosa, upaliła kawał nosa.

Resztę Nusia dobrze знаła, ale mogła słuchać tego bez końca:

A gdzie to ucho? – Woda porwała.

A gdzie ta woda? – Gołębie wypily.

A gdzie te gołębie? – W lesie na dębie.

A gdzie ten dąb? – Siekierka ścięła.

A gdzie ta siekierka? – Chłop ma za pasem.

A gdzie ten chłop? – Umarł pod progiem.

A kto za nim płakał? – Pies i kot.

A jak płakali? – Hau, hau, miau, miau.

A jak mu grali? – Baranim rogiem.

A jak mu dzwonili? – Bim-bom, bim-bom.

Trwały jeszcze potem długą chwilę w ciszy. Słuchać było tylko senne tykanie zegara. Prawie się ściemniało, gdy mała ożywiła się i powiedziała:

– Babciu, ale ja wolę pójść jutro nad rzekę, na łyżwy, nie na sanki.

– No zobaczymy, jak nic ci nie będzie z tego płaczu, to pójdziesz.

A teraz chodź, zrobimy kolację. Ujęła małą za rękę i poszły do kuchni.

W duchówce schowana była brytfanka z drożdżową bułką posypaną makiem, upieczona specjalnie na święta. Babcia ukroiła kromkę, posmarowała masłem i śliwkowym powidłem, wręczyła malej, mówiąc:

– Jedz, zaraz zagrzeję mleko i zrobimy kakalko.